

KATARZYNA RYRYCH

deniM
blue



Katarzyna Ryrych
Denim blue

© by Katarzyna Ryrych
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka: Elżbieta Chojna

Skład i korekta: Lidia Kowalczyk,
Joanna Pijewska, Aleksandra Różanek

Wydanie I

ISBN 978-83-7672-344-0

Wydawnictwo **Literatura**, Łódź 2015
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wyd-literatura.com.pl
tel. (42) 630 23 81
faks (42) 632 30 24
www.wyd-literatura.com.pl

Podając swój adres zamieszkania, Zyga odczuwał coś w rodzaju dumy. Nie opuszczała go od chwili, gdy na lekcji historii pani powiedziała, że nie powinni mieć absolutnie żadnych kompleksów jeśli chodzi o Kraków, bo Nowa Huta od początku miała być osobnym, niezależnym miastem, tylko po drodze coś nie wyszło i ostatecznie została najmłodszą dzielnicą. Pani nieustannie powtarzała, że niewiele brakowało, aby na końcu najbardziej reprezentacyjnej alei, zwanej aleją Róż, stanął ogromny budynek przypominający Pałac Kultury i Nauki w Warszawie, lecz z niewiadomych przyczyn do tego nie doszło. Za to często – ku ucieście dzieciarni – na wielkim trawniku pośrodku placu Centralnego pojawiały się krowy. Krowy pasły się również na łąkach rozciągających się za miejskim szpitalem i ciotka Zygi często wychodziła, aby na nie popatrzeć i wspominać Kwiatulę i Krasulę, których – przeprowadzając się z siostrzeńcem i jego rodziną do Nowej Huty – w żaden sposób nie mogła zabrać ze sobą. I ilekroć ktoś jechał do Limanowej, gdzie ciotka pozostawiła swoje krowy, musiał przyrzec, że po zdrowiu je od ciotki.

Gdybyśmy mieli ten nasz Pałac Kultury, byłibyśmy lepsi od Warszawy – myślał Zyga i wyobrażał sobie, jak piękne byłoby ich miasto, gdyby na szarych budynkach placu Centralnego,

dostojnie wspartych na arkadach*, pojawiły się płaskorzeźby i mozaiki.

Pani od rosyjskiego nie traciła nadziei i gdy całą klasą udawali się, by w Dniu Zwycięstwa złożyć kwiaty pod czołgiem stojącym obok siedziby ZBoWiD-u**, zapewniała, że pewnego dnia na murach ukaże się cała historia przyjaźni ze Związkiem Radzieckim***. Jednak murale i mozaiki, jakie zdobiły budynki radzieckich miast, nigdy nie pojawiły się na szarych ścianach budynków otaczających plac Centralny, podobnie jak Nowa Huta nie została osobnym, niezależnym miastem.

Ale i tak jadąc do Krakowa (tak zawsze mówiło się w rodzinie Zygi), trzeba było przejechać tramwajem numer cztery spory kawałek i odnosiło się wrażenie, że wysiada się w zupełnie innym mieście.

No i oczywiście Nowa Huta miała być miastem ludzi młodych, co według Zygi rozmiękało się z prawdą. Na przykład babka Doroty miała lat osiemdziesiąt. Hodowała w piwnicy wieprzka tak długo, dopóki ktoś nie doniósł o tym na milicję. Milicja wieprzka skonfiskowała, pozostawiając urzędowy papier zaświadczący, że wszystko odbyło się zgodnie z literą prawa, ale rodzina Doroty była stuprocentowo pewna, że wieprzek został po prostu zjedzony, zgodnie ze swym przeznaczeniem. Wszystko działo się na drugim podwórku, gdzie na balkonach tuczono gęsi i kury, a pewnego razu na trawniku przed blokiem pojawiła się nawet koza.

* Arkady – element architektoniczny składający się z dwóch podpór (kolumn, słupów lub filarów), które zostały połączone u góry łukiem.

** ZBoWiD – Związek Bojowników o Wolność i Demokrację, organizacja zrzeszająca kombatantów.

*** Przyjaźń Polsko-Radziecka – deklarowana na akademiach ku czci, pielęgnowana poprzez korespondencję z kolegami i koleżankami z Kraju Rad, czyli Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich.

Sam Zyga mieszkał na pierwszym podwórku, tam, gdzie osiedlono „inteligencję techniczną”, to znaczy inżynierów z rodzinami, architekta, kilku nauczycieli, milicjanta i tęgiego mężczyznę o nalanej twarzy, o którym mówiono, że jest sekretarzem*.

Kiedy Zyga był w drugiej klasie, pani czytała im bajkę, w której występował krasnal Koszałek-Opalek zajmujący się pisaniem kroniki. I gdy Zyga spotykał na podwórku sekretarza idącego majestatycznym krokiem z dużą, skórzaną teczką w ręce, zawsze przypominał mu się krasnal z bajki.

Dlatego sekretarz nosił przezwisko Koszałek, a dorośli śmiali się z tego i mówili, że raczej Opalek, bo nie wiadomo, co może się przydarzyć komuś, kto narazi się sekretarzowi.

Na pierwszym podwórku rosły ładne, wysokie akacje, trawniki straszyły tabliczkami zakazującymi deptania, a wzdłuż alejki przecinającej podwórko stały zielone ławki. I kiedy tylko jakiś dzieciak ośmielił się przebiec podwórko na skrót, okno na pierwszym piętrze otwierało się i wysuwała się z niego głowa pani milicjantowej, cała w różowych, plastikowych wałkach.

– Wynocha! – krzyczała, aż rozeszło się echo. – Jazda mi stąd zaraz! Napisane, żeby nie deptać trawnika!

I było tak za każdym razem, gdy tylko ktoś ośmielił się wejść na trawnik.

Zupełnie inaczej było na drugim podwórku, gdzie mieszkali robotnicy i ohapowcy**. Tam nikt na nikogo nie wrzeszczał, a bywało, że na środku trawnika malownicza grupa grała w karty na pieniądze.

Jednak po paru wizytach milicji grupa przeniosła się na pobliskie łąki rozciągające się za miejskim szpitalem.

* Sekretarz – funkcjonariusz aparatu partyjnego niższego szczebla; człowiek podejmujący ważne, ostateczne decyzje, np. w zakładzie pracy.

** Ohapowiec – członek Ochotniczych Hufców Pracy.

– To byli bumelanci* – szepnęła Elka, zwana z racji piegów Indycznym Jajem.

Zyga westchnął. Bumelanci zawsze kojarzyli mu się z jakimś egzotycznym plemieniem żyjącym według własnych praw, otaczała ich zapach papierosów, piwa i wolności. Tej ostatniej Zyga zazdrościł im z całego serca.

Niestety, po paru próbach zostania bumelantem zarobił dwóję z zachowania, a pani odbyła z jego ojcem rozmowę tak poważną, że jej ślady nosił na tylnej części ciała przez kilka dni.

– Kiedy będę dorosły, zostanę bumelantem! – wykrzyczał w czeluść piecyka gazowego, gdy ojciec poszedł na drugą zmianę, a matka zajęta była pastowaniem schodów na klatce.

Bo Zyga był jedynym robotniczym dzieckiem mieszkającym wśród inteligencji technicznej.

Stało się tak dlatego, że mieszkania, jakie pozostały do przydziału na drugim podwórku, były za małe dla ich sześcioposobowej rodziny (oraz królików, z którymi ciotka za żadne skarby nie chciała się rozstać), skutkiem czego rodzice Zygi otrzymali mieszkanie na parterze jednego z bardziej eleganckich bloków, gdzie matce powierzono funkcję dozorczyń. Musiała dbać o porządek na obu klatkach schodowych, jesienią zamiatać liście, a zimą odgarniać śnieg i posypywać solą chodnik przed blokiem.

Zyga jako najmłodszy nie musiał włączać się do pomocy, ale jego dwie siostry, kręcąc nosami, zamiatały i szorowały, w zależności od tego, co trzeba było zrobić.

Nie można jednak powiedzieć, aby ich trud był mu całkowicie obojętny – pewnego razu dorwał mieszkającą na pierwszym piętrze dziewczynkę i kilka razy solidnie ją kopnął, upominając, by wycierała buty.

* Bumelant – ktoś, kto uchyla się od pracy.

Dziewczynka, rzecz jasna, rozryczała się na cały głos, masując obolałe cztery litery, a Zyga musiał ją przeprosić.

– A mówiłam, że z tej tyligencji nic dobrego nie wyjdzie – narzekała ciotka, głaszcząc rozwichrzone włosy Zygi. – Trzeba było na drugim podwórzu brać, jakoś by my się pomieścili. Ja nad grobem stoję, Lucynie już niedługo czas za męża...

– Nie będę wychodzić za męża – powiedziała wieczorem Lucyna, udając, że mówi pacierz.

– To co będziesz robić? – zapytała Ewa.

– Będę piosenkarką – odpowiedziała Lucyna, ściągając kołdrę na swoją stronę.

Siostry Zygi zajmowały jedno łóżko, a on sam spał na wąskiej kozetce, którą za dnia zastawiano stołem.

Rodzice spali w dużym pokoju, a ciotka w przedpokoju i chcąc przejść do łazienki, Zyga musiał przeciskać się obok jej łóżka.

– Czy to kostucha po mnie idzie? – pytała za każdym razem, gdy zdarzało mu się ją obudzić.

Kiedy Zyga był mały, bał się kostuchy straszliwie, a gdy nieco podrośł, ośmielał się pyskować:

– Żeby już przyszła, to będzie spokój. I więcej miejsca.

Ale tak naprawdę bardzo kochał ciotkę, bo gdy chorował, opowiadała mu o wojnie i o Niemcach, jak to wujek zawsze zdołał ich wyprowadzić w pole i tylko raz mu się nie udało, i biedak został w polu.

– Jak dorosnę, będę lał Niemców – obiecał Zyga ciotce, a ta pogłaskała go po policzku i dała dwa złote, żeby kupił sobie coś słodkiego, jak wyzdrowieje.

Pierwszym Niemcem, którego złał, był synek inżyniera z NRD*, ale tym razem nie było skargi. Butny smarkacz wytarł

* NRD – Niemiecka Republika Demokratyczna (1949–1990), dawne państwo na terenie byłej radzieckiej strefy okupacyjnej, tu mieszkali „dobrzy Niemcy”.

nos o rękaw bluzy i powiedział po niemiecku coś, co Zyga od razu zapamiętał.

– *Polnisze szwajne** – powtórzył ciotce Zyga, a ta aż poczerwieniała na twarzy.

I byłaby ruszyła pomścić Zyge, ale po drugiej stronie zaczęła się jakaś awantura i ciotka zatrzymała się przy oknie.

– A, to o tę kurę chodzi – powiedziała, a Zyga odetchnął z ulgą, bo już wyobrażał sobie ojca wymierzającego mu sprawiedliwość.

I byłoby to podwójnie bolesne, ponieważ ośmioletni Zyga zdawał sobie sprawę z wielu rzeczy, o które go nie podejrzewano, choćby z tego, że gdyby afera z synem inżyniera wyszła na jaw, to konsekwencje byłyby równe wybuchowi kolejnej wojny światowej.

– Ale przecież to są ci dobrzy Niemcy – poskarżył się wieczorem siostrze.

– Nie ma dobrych Niemców – szczerknęła z przedpokoju ciotka i wszyscy byliby się pokłócili, gdyby nie matka, która kazała im się zamknąć, bo ojciec musiał się wypać przed zmianą.

Od tej pory Zyga szerokim łukiem omijał blok, w którym mieszkali zagraniczni eksperci, po części aby nie wystawiać się na pokuszenie, a po części by synek inżyniera przypadkiem nie wystawił go swemu tacie.

Zresztą, na podwórku było więcej ciekawych rzeczy do roboty niż wywoływanie kolejnego konfliktu polsko-niemieckiego. Można było rzucać kamieniami do mieszkających po drugiej stronie ulicy Cyganów albo, siedząc pod hotelem robotniczym, słuchać, jak ohapowcy śpiewają piosenki o Nowej Hucie.

* *Polnisze szwajne* (niem. właśc. *Polnische Schweine*) – „polska świnia”; obraźliwe określenie Polaka, relikwint okupacji hitlerowskiej.

O Krakowie co prawda też były jakieś piosenki, ale sam fakt, że Nowa Huta, która miała stać się odrębnym miastem, doczekała się piosenek o sobie, był czymś naprawdę wyjątkowym.

– *O Nowej to Hucie piosenka!* – wydierał się Zyga.

– Zamknij się – powiedziała trochę niewyraźnie Lucyna, bo upinała sobie kok, trzymając w ustach szpilki do włosów.

– *O nowej to Hucie melodia!*

Ewie wydzieranie się brata w ogóle nie przeszkadzało, a nawet w pewnej chwili stwierdziła, że Zyga ma lepszy słuch niż Lucyna.

– *A taka jest prosta i piękna...*

Lucyna podciągnęła wąską, czarną spódniczkę i spojrzała na swoje odbicie w lustrze.

– Majtki ci widać – orzekła Ewa. – Różowe.

– Jakbyś nie była lepsza – odparowała Lucyna. – Kto się przebiera w piwnicy, może ja?

– *I taka jak Huta jest nowa!!!*

Zyga zeskoczył z parapetu i śmignął jak kot, uchylając się przed ręką siostry. Zwinnie przycisnął się obok łóżka ciotki i wpadł do kuchni.

Na parapecie stał garnek z kompotem z rabarbaru. Nalał sobie pełen kubek.

– *Chłopak z gitarą byłby dla mnie parą* – dobiegło zza okna. To Lucyna zdążyła już wyjść z domu.

– Chodzi do Kolorowej* – powiedziała Ewa takim tonem, jakby Zyge mogło to interesować. Wzruszył ramionami. – Tam chodzą wszyscy bikiniarze – dodała, a na jej twarzy pojawił się jakiś taki głupi wyraz.

Zyga ze zrozumieniem pokiwał głową. O bikiniarzach wiedział sporo. Nosili włosy postawione na wodę z cukrem, spod

* Kolorowa – najpopularniejsza nowohucka kawiarnia.

przykrótkich spodni widać było im kolorowe skarpetki, śpiewali piosenki, w których bez przerwy powtarzało się „je-je-je” i wszyscy bez wyjątku byli wrogami ustroju.

Na początku Zyga nie bardzo rozumiał, jak wrogiem ustroju może być Polak, bo wróg kojarzył mu się z Niemcem z RFN-u*, ale pewnego dnia pani opowiedziała całej klasie o kułakach**, walce klasowej i zgniłym Zachodzie***.

Jednak w głębi serca Zyga był przekonany, że bikiniarze nie zrobią Lucynie nic złego. Nie wiedział do końca, z czego brało się owo przekonanie, ale jego zdaniem siostra była absolutnie bezpieczna.

Niestety, ojciec Zygi był wręcz przeciwnego zdania i któregoś piątkowego wieczoru zamiast położyć się spać po zmianie, udał się do Kolorowej, skąd przyprowadził płaczącą Lucynę i całe podwórko słyszało, jaką – inną od estradowej – wróży jej karierę.

– Panie Gołębiowski, tak nie wolno – upomniała ojca nauczycielka z pierwszego piętra.

– Moja córka, moja sprawa – odburknął ojciec.

– To o wyrazy chodzi – wyjaśniła nauczycielka i ojciec nieco się rozchmurzył.

– No ale jak nazwać taką... – zaczął i urwał, bo na korytarzu pojawił się Koszałek.

– Do ZMP**** zapisać – zagrział, że aż rozeszło się echo. – Znajdzie właściwą drogę.

* RFN – Republika Federalna Niemiec (1949–1990).

** Kułak – tępiony w PRL-u bogaty gospodarz.

*** Zgniły Zachód – określenie używane z upodobaniem przez ówczesne władze PRL-u oznaczające całą resztę świata na zachód od państw tak zwanej demokracji ludowej. Miało zozydzać wszystko to, co nie było ludowo-socjalistyczne – muzykę, ubrania, styl życia – ale odnosiło skutek przeciwny do zamierzonego.

**** ZMP – Związek Młodzieży Polskiej, polski odpowiednik sowieckiego Komso-mołu, czyli społeczno-politycznej organizacji młodzieży radzieckiej.

Kiedy wieczorem przy kolacji ojciec wspomniał o ZMP, roz-pętała się istna burza.

– Oni do kościoła nie chodzą – lamentowała ciotka – i Boga w sercu nie mają. Niczego dobrego dziewczyny nie nauczą. I na ślub kościelny patrzą krzywo.

– Ale zabronić to jeszcze nie zabronili, a Filusowa mówiła, że jakiś chór tam mają – wtrąciła matka. – Może niech śpiewa, to jej czas zajmie.

– To i w kościele zaśpiewa, jak lepszy czas nastanie – rozmarzyła się ciotka. – Przecie obiecali, że nam kościół wybudują. Słowa dotrzymać muszą.

W ten sposób wokalna kariera Lucyny została uratowana i po wakacjach siostra Zygi wstąpiła do chóru w domu kultury.

– A może by tak Zygmusia posłać na muzykę? – zaproponowała któregoś dnia po próbie chóru. – Niech gra na czymś.

Zyga poczuł, jak przenika go dreszcz.

– Na akordeonie – zadecydował ojciec. – Instrument poręczny, a i na weselu zagrać może.

– Gdzie teraz masz wesela – odezwała się ciotka. – Teraz to na papier żyją...

Ojciec udał, że nie słyszy, i już następnego dnia z samego rana zapisał Zygę do ogniska*. Akordeon pojawił się w domu na drugi dzień i kosztował ojca jakąś fuchę.

I – co Zyga wspominał ze łzą w oku – dzień ten na zawsze odmienił jego życie.

Do tej pory egzystencja Zygi składała się głównie z chodzenia do szkoły, kopania piłki po lekcjach lub gry w zoškę na podwórku.

Teraz zaś, w wieku lat trzynastu, wkraczał w inny świat, do którego – jego zdaniem – mieli wstęp jedynie wybrani.

* Ognisko – instytucja prowadząca zajęcia kulturalne lub oświatowe.

Teza o wybranych potwierdziła się, gdy w grupie czekających na swoje zajęcia rozpoznał syna milicjanta i dziewczynkę z sąsiedniego bloku. Oczywiście udał, że ich nie poznaje, zajęty wycieraniem rękawem futerału piekielnie ciężkiego i nieporęcznego instrumentu.

Szybko okazało się, że Zyga posiada talent muzyczny, bowiem pod koniec września płynnie wygrywał *Fale Dunaju*, podśpiewując przy tym: „Umpa-pa, umpa-pa, umpa-pa-pa”, co doprowadzało Lucynę do białej gorączki.

Po *Falach Dunaju* przyszła kolej na piosenki, które zaprezentować miał na szkolnej akademii z okazji rocznicy Wielkiej Rewolucji Październikowej, kiedy to w białej koszuli i z czerwoną chustą zagrał *Katiuszę*, wzbudzając ogólny entuzjazm, a pani od historii wzruszyła się do tego stopnia, że miała w oczach najszczerze łzy.

Mijał czas i Zyga występował na wszystkich szkolnych akademiach, wzbogaciwszy repertuar o *Ciemną noc* i *Podmoskiewskie wieczory*.

Jako ulubieniec pani od historii cieszył się większą niż jego koledzy swobodą, do tego stopnia, że wybaczone mu pewien karkołomny pomysł, na jaki wpadł podczas wizyty Fidela Castro. Kubański przywódca postanowił, iż odwiedzi szkołę noszącą imię Rewolucji Kubańskiej, a w uczniowskim Komitecie Powitalnym znalazł się oczywiście Zyga.

Drżąc z podniecenia, przyglądał się wysokiemu, brodatemu mężczyźnie, który wysiadł z błyszczącego, czarnego samochodu.

Mężczyzna przyjął kwiaty od jednej z uczennic starszej klasy i po kolei uściskał dłonie całemu komitetowi powitalnemu.

Zaś szczególnie mocno uściskał dłoń Zygi, a przynajmniej ten odniósł takie wrażenie, i uskrzydłony tym silnym, męskim uściskiem porwał z ziemi akordeon i zaintonował:

– *Pije KUBA do Jakuba* – ze szczególnym naciskiem na „Kuba”. Na twarzy brodatego mężczyzny pojawił się uśmiech i gdy komitet powitalny spontanicznie dołączył do Zygi, przywódca narodu kubańskiego zaczął klaskać, a razem z nim towarzyszący mu ochroniarze i cała reszta gości.

Na twarz dyrektora szkoły powróciły naturalne kolory, a nauczycielka historii najpierw wykręciła lewe ucho Zygi tak, że do oczu napłynęły mu łzy, a potem zawyrokowała:

– Jeżeli nie skończysz w więzieniu, zajdziesz wysoko.

Przez cały tydzień Zyga paradował w glorii chwały i zazdrościli mu wszyscy.

Ale najważniejszym wydarzeniem było to, że na jednej z przerw obiadowych do Zygi podeszła Czarna Owca. Była jedną z najładniejszych dziewczyn w szkole i na dodatek nosiła prawdziwe, wycierane, zachodnie dżinsy. Pojawiła się w szkole we wrześniu i jako „nowa” stała się od razu obiektem zainteresowania zarówno chłopców, jak i dziewczyn.

Naprawdę nazywała się Katarzyna Czarnowska, ale kiedy wychowawczynie zapytała ją o nazwisko, Czarna Owca miała usta pełne gumy do żucia donald* i zamiast „Czarnowska” wychowawczynie usłyszała „Czarna Owca”.

A jak trafna była owa pomyłka, wszyscy mieli przekonać się w niedługim czasie.

– Fajnie wymyśliłeś z tą Kubą – powiedziała.

Zyga wrzucił ramionami.

Czarna Owca usiadła na parapecie i przykleiła gumę do doniczki z paprotką. Tego dnia Zyga odniósł jej teczkę na przystanek tramwajowy.

* Donald – zachodnia guma do żucia w różowym kolorze o intensywnym smaku i zapachu. Do każdej dołączony był małeńki obrazek-komiks o Kaczorze Donaldzie i jego przyjaciółkach. Obrazki kolekcjonowano, wymieniano, były nieoficjalnym środkiem płatniczym w szkołach podstawowych.

Bo Czarna Owca mieszkała na obrzeżach dzielnicy, za stadionem sportowym, i to nie w bloku, ale w domku jednorodzinym. I – czego nie wiedział nikt poza Zyga – jej ojciec był badylarzem.

To znaczy, że za domem Czarnej Owcy stały trzy szklarnie, w których jej rodzice uprawiali sałatę, a jesienią chryzantemy. I na dodatek starszy brat Czarnej Owcy jeździł taksówką.

Zyga powrócił do domu w takim stanie ducha, że matka przyjrzała mu się podejrzliwie, a potem kazała mu chuchnąć.

– A może wacha klej – powiedziała Ewka. Jej chłopak, którego starannie ukrywała przed rodzicami, był prawdziwym hipisem: nosił długie włosy, koszule w kwiatki i dzwony tak szerokie u dołu, że wyglądały jak falbanki przyszyte do zwyczajnych dżinsów. I od tego chłopaka Ewka dowiedziała się o wachaniu kleju, ale oczywiście ani on, ani ona nigdy tego nie robili.

Za to – co Zyga widział kilka razy – całowali się i palili papierosy, siedząc na ławce pod przedszkolem.

– A może się zakochał – stwierdziła Lucyna i Zyga musiał przyznać, że była naprawdę biegła w sprawach sercowych.

Następnego dnia Czarna Owca przyniosła do szkoły czekoladę, jakiej Zyga nigdy w życiu nie widział na oczy.

Czekolada była trójkątna i biała, ale smakowała tak jak prawdziwa czekolada.

– Toblerone – przeczytał Zyga. – Masz kogoś na Zachodzie?

Słowo „Zachód” wymówił nieco ciszej. Czarna Owca pokręciła głową.

– Pewex – powiedziała.

O pewexach Zyga oczywiście wiedział. Można tam było kupić za dolary wszystko, czego nie można było dostać w normalnych sklepach. Ale Zyga nigdy w życiu w pewexie nie był.

Nie mówiąc już o tym, że nigdy w życiu nie jadł niczego, co zostałoby tam kupione.

Kładąc się do snu, myślał o białych czekoladach i wytartych dżinsach Czarnej Owcy i gdy zbliżały się jego urodziny, nieśmiało bąknął coś na temat nowych spodni.

– Słusznie – zauważył ojciec, patrząc na syna, który z początkiem zimy zaczął niepokojąco szybko rosnać i nie miał najmniejszego zamiaru przestać.

– Tata... – zaczął nieśmiało Zyga.

Ale ojciec zakończył już dyskusję z synem i obraz prawdziwych zachodnich dżinsów prysnął jak bańka mydlana.

Zapewne – myślał z goryczą Zyga – matka dowie się, gdzie rzucili teksasy i...

Teksasy, spodnie szyte na modłę wranglerów czy lewisów, były kiepską próbą naśladownictwa tychże. Splot materiału jedynie przypominał prawdziwy denim, a na nitach przy kieszeniach nie było żadnego firmowego napisu.

I do końca życia będą tylko teksasy – pomyślał, dziękując za urodzinowy prezent z nieszczerym uśmiechem.

Spodnie były sztywne, odstawały w pasie tak, że trzeba było przytrzymywać je paskiem, i jedynym plusem było to, że miały ciemnogrnatowy kolor, ponieważ zdarzały się również brązowe, zielone czy wręcz w kolorze bordo.

Farba, jakiej użyto do nadania im koloru, była niewątpliwie superjakości, bo nawet po kilku praniach spodnie nie zmieniły barwy, przy okazji farbując dwie pary skarpetek, podkoszulek i chustkę do nosa, którą Zyga zapomniał wyjąć z kieszeni.

Pewnego wieczoru, kiedy Lucyna była na ostatniej próbie chóru, Ewa paliła papierosy ze swoim Hipisem, matka z ciotką wybrały się po cichu do kościoła, a ojciec nie wrócił jeszcze z pracy, zdesperowany Zyga spryskał spodnie wodą i położywszy je na podłodze w łazience, wziął do ręki pumeks, którego matka używała do szorowania pięt.

Tarł długo i wytrwale, aż wytarł sporej wielkości dziurę powyżej kolana. Ku swemu zadowoleniu dostrzegł, że materiał w kilku miejscach zmienił kolor.

Rozwiesił dzinsy na kaloryferze i usiadł na parapecie. Parapet był nieprzyjemnie zimny, za to z okna widać było całe podwórko.

Zyga spojrzął na sąsiedni blok i z żalem powrócił do czasów, kiedy na balkonach stały klatki z kurami albo z królikami. Szczególnie dobrze pamiętał koguta będącego dumą swego właściciela – pianie okazałego ptaka budziło dwa podwórka o wschodzie słońca i pewnego dnia obudziło nawet posterunek milicji.

Jako że właściciel koguta był jednym z cenionych majstrów, otrzymał najpierw upomnienie, które zlekceważył. Kiedy zaś dowiedział się, że ptak ma być służbowo skonfiskowany, osobiście uciął mu łeb.

Podczas gdy majstrowa, siedząc na balkonie, skubała koguta, majster wypiwszy odrobinę za dużo, stał pod blokiem i złorzeczył władzy ludowej, co to nikomu, nawet kogutowi, żyć nie da.

– Staszeczku, na Boga, zamknij się, bo jeszcze kto doniesie – lamentowała majstrowa. – Na koguta donieśli, to i na ciebie doniosą...

– Nie dam sobie łba uciąć, o nie – odpowiedział majster i wzorem Rejtana szarpnął flanelową koszulę. – Pijcie robotniczą krew!

Ale kiedy w oknie pokazała się głowa w różowych wątkach, majster dziwnie się uspokoił, splunął w kierunku sąsiedniego bloku i poszedł w stronę łąki zagrać w oczko z bumelantami.

I – jak powiadano – nie tknął rosołu, choć był z niego kawał chłopa, co to lubi sobie pojeść.

Dla Zygi wszystko to było bardzo dziwne, bo kiedy nadchodziły święta Bożego Narodzenia, co najmniej w kilkunastu

oknach wisiały zające. Wisiały sobie głowami w dół i Ewka, która zawsze była bardzo wrażliwa, starała się nie patrzeć w górę. I pewnie dlatego w oknie Zygi nigdy nie zawisł zajac.

Za to w wannie przez kilka dni, do samej Wigilii, pływał karp i nie można było się wykąpać.

O zniszczone – zdaniem matki – dzinsy rozpętała się straszliwa awantura.

– Nie kupię gnojowi niczego do września – orzekł ojciec i dzielił syna w ucho tak mocno, że aż zadzwoniło.

Jednak Zyga, urodzony optymista, odnalazł w owej groźbie niewątpliwy plus. Do września, czyli do początku roku szkolnego, spodnie mają szansę wytrzeć się w sposób naturalny.

Ale jak zwykle świat postanowił spłatać mu kolejnego figła.

– Z dziurą przecie chodzić nie będzie – orzekła ciotka. – Da się łątę i jeszcze długo ponosi. A we wrześniu...

Zyga poczuł, jak przenika go zimny dreszcz. Łata! Toż nawet cyganiaki zza ulicy nie paradowały w łątanych portkach. Od tej pory żył w podobnym napięciu jak właściciel koguta – kładąc się do snu, chował spodnie pod poduszkę i bywało, że budziły go jakieś podejrzanе szelesty. Sprawdzał wtedy, czy spodnie znajdują się tam, gdzie je włożył, i ponownie zapadał w sen.

Prawdziwą porażką było jednak to, że Czarna Owca spojrzawszy na spodnie, nie wyraziła zachwyty.

– Polskie się nie powycierają – powiedziała.

Obraz Fidela Castro ściskającego prawicę Zygi w jednej chwili zbladł.

Ale Zyga – jak wkrótce miało się okazać – nie poddawał się łątowo. Wracając ze szkoły, nie udał się prosto do domu, lecz zahaczył o skup szkła.

– A pewnie, że przyjmujemy – powiedziała kobieta ze skupu i wskazała Zydze cennik.

Wpadł do domu jak burza i rzucił się do kredensu.

– Ciotka, a te słoiki to potrzebne? – zapytał, wskazując na rząd słoików wecka.

– A ogórki to w czym zakiszę? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

Ogórki ciotki nie miały sobie równych, więc Zyga odrzucił diabelski plan kradzieży i udał się na podwórko. Na polu były jedynie dziewczyny, którymi – z wyjątkiem Czarnej Owcy – Zyga jawnie pogardzał.

Przyzwoitość nakazywała, aby pomachać im ręką, co też uczynił, i poszedł w stronę rozciągających się za szpitalem łąk, ulubionego miejsca bumelantów.

Przypomniał sobie dzień, gdy zadeklarował się, iż zostanie bumelantem, i zdziwił się zmianą własnych poglądów. Bo gdyby dano mu jakikolwiek wybór, bez mrugnięcia okiem zostałby badylarzem.

Wszedłszy na łąki, poczuł się tak, jakby wszedł do zupełnie innego świata. Pachniała mokra ziemia, wysoko nad głową śpiewał skowronek, a niebo było tak błękitne jak tabletki ultramaryny, których ciotka dodawała do płukania bielizny.

Pierwszy skarb znalazł w trawie, tuż koło ścieżki, a parę kroków dalej następne.

Wracając z siatką pełną butelek, doszedł do wniosku, że niebo ma kolor spranych, prawdziwych zachodnich dżinsów.

Pieniądze pozyskane ze sprzedaży ukrył w słoiku, a słoik wepchnął za szkolne podręczniki.

Od tej chwili całą jego uwagę zaczęły zaprzętać pieniądze.

– Dawniej toby na weselu zagrał – westchnęła ciotka. – Albo po podwórkach pochodził... Ale dzisiaj to wszystko zabronione.

Siedząc z talerzem zupy na brzegu łóżka ciotki, Zyga doszedł do wniosku, że ciotka musi się w tym nowym świecie czuć naprawdę źle.

– Bo jak tu się czuć dobrze – powiedziała zapytana o samopoczucie – jak cały świat na głowie stoi.

Na czym polegało to stanie na głowie, tego Zyga się nie dowiedział, bo ciotka zamknęła oczy i zapadła w poobiednią drzemkę.

Spała tak cicho, że Zyga kilka razy pochylił się nad nią, żeby sprawdzić, czy nie umarła. Bo ciotka była jedyną osobą, która dawała mu drobne na słodycze, choć już od dawna słodyczy nie jadał, i kiedy z jakiegoś powodu snuł się po domu markotny, zawsze próbowała go rozweselić.

Zyga umył talerz i wzięwszy akordeon, wyszedł na ławkę przed blokiem.

– Hałasować tu nie wolno – oznajmiła głowa w różowych wałkach, więc powlókł się na drugie podwórko.

– O, muzyka idzie! – zawołał ktoś z okna hotelu robotniczego i za chwilę na podwórku pojawiło się kilku rumianych, ostrzyżonych na zero chłopaków. Na oko byli od Zygi starsi o jakieś pięć, sześć lat, ale pracowali i mieli swoje pieniądze, nikt nie zabraniał im palenia papierosów i mogli nie spać nawet całą noc.

– To my pięknie o muzykę poprosimy – powiedział pierwszy, ten bez przedniego zęba.

Drugi z chłopaków miał pod okiem wytatuowaną niewielką kropkę, a trzeci potrafił mówić z papierosem przyklejonym do dolnej wargi.

Zyga oparł się plecami o ławkę, przymknął oczy i w niebo o kolorze zachodnich dżinsów popłynęły *Fale Dunaju*.

– Grajek *prima sort* – orzekł ten z kropką pod okiem i Zyga poczuł się tak, jak tego pamiętnego dnia, kiedy Fidel Castro ścisnął mu rękę.

– Jakbyś tak na majówce* zagrał – powiedział Bez Zęba. – Pojesz, popijesz, pograsz. Będzie zyg fajn**.

– W tamtym roku Cygany nam grały – dodał trzeci – ale na koniec zrobiła się taka rozróżba, że milicję wzywali.

Zyga spojrział na podarte na kolanie teksasy i wzięwszy głębokimi oddech, rzucił:

– Za ile?

Ohapowcy wybuchnęli śmiechem.

– Dobrze gada! – Chłopak bez zęba klepnął go w plecy tak mocno, że aż chrupnęło.

– Masz myślenie – dorzucił drugi. – Jakoś się dogadamy.

Posiedzieli jeszcze chwilę, rozmawiając o tym, jak było kiedyś, i ohapowcy zgodzili się, że kiedyś było inaczej. Nie lepiej, nie gorzej, ale inaczej.

Zyga wracał do domu, czując się tak, jakby u ramion wyrosły mu skrzydła. Po drodze spod śmietnika zebrał jeszcze parę butelek i sprawdziwszy, czy ciotka nie umarła podczas snu, przejrzał szkolne zeszyty. W pośpiechu odrobił zadania i jeszcze raz sprawdził, czy słoik jest dobrze ukryty.

Bądź co bądź, mieszkanie było na parterze i gdyby ktoś zechciał się do niego dostać, nie miałby z tym najmniejszego problemu – wystarczyło wspiąć się na murek, a potem podciągnąć w górę, uprzednio chwyciwszy się parapetu.

Co prawda Zyga nie włamał się do żadnego mieszkania, ale parę razy widział coś podobnego w telewizji.

Gdyby ciotka miała telewizor – pomyślał – toby się jej nie nudziło.

* Majówka – impreza po pochodzie pierwszomajowym, na której jadło się uprzednio zdobyte bułki z szynką.

** Zyg fajn – „całkiem fajnie”, gwara miejska.

I postanowił, że kiedy już kupi wymarzone spodnie, to zacznie kombinować pieniądze na telewizor.

Oczyma wyobraźni widział nieduży stolik, na nim koronkową serwetę, na tej serwecie telewizor, a na telewizorze pieska z takiego tworzywa, co było trochę jak aksamit, a piesek miał głowę na sprężynie i jak się go potrącało, to nią kiwał...

Z marzeń wyrwała go siostra, która weszła do pokoju, trzasnąwszy drzwiami.

– Zabrałbyś się za coś! – warknęła.

Zyga wzruszył ramionami.

– A ty nie strzelaj drzwiami, bo ciotka znowu pomyśli, że się zaczyna wojna.

Przechodząc obok ciotki, Zyga pomyślał, że na szczęście ciotka nie wie nic o wojnie toczącej się pomiędzy chłopakami z podwórka a Cyganami. Sam co prawda długo nie brał w niej udziału, ale kiedy oberwał pacyną błota, krew w nim zawrzała. Wrócił do domu z podbitym okiem, ale ściskając w dłoni urwany rękaw koszuli wroga.

Był to epizod jednorazowy, bowiem Zyga skrycie podziwiał cygańskie dzieci za spryt, z jakim uciekały ze szkoły, wyskakując przez okno w toalecie.

Podobnie od czasu, gdy zaczął grać na akordeonie, Zyga przysłuchiwał się muzykującym przed domami Cyganom i wróciwszy do domu, zaczynał odtwarzać ich melodie.

– Zygmuś nasz gra jak jaki Cygan – zachwyciła się ciotka, a Lucyna uciekała do łazienki, gdzie wyginając się przed lustrem, śpiewała „Je-je-je”.

– Niech tyle nie je, bo będzie gruba – docinał jej ojciec, który widać już zapomniał o przygodzie z bikiniarzami.

Wieczorem Zyga długo nie mógł zasnąć, bo myślał już nie tylko o dzinsach, ale i o telewizorze. Przez jego brak ominęło go tyle prawdziwej frajdy i kilkakrotnie padł ofiarą niewiedzy,

bo kiedy na podwórku wszyscy bawili się w ulubione seriale, on jeden nie wiedział, kim był Gandiego i Garsyja i w zabawie w *Bonanzę** zgodził się odgrywać Chosa.

– Nie Gandiego, tylko don Diego – wyjaśniła mu Lucyna – czyli pan Diego. A José to taki gruby niedojda.

Zyga czuł, jak ze wstydu płoną mu uszy i następnego dnia, kiedy wszystkie dzieciaki wyszły na podwórko, został w domu, tłumacząc się bólem brzucha.

Ale kiedy w telewizji pokazywali serial o kimś, kto nazywał się Ajwenhoł, Zyga wiedział już, że chodziło o jednego z rycerzy Okrągłego Stołu.

Na szczęście, gdy przyszła kolej na *Upiora z Luwru*, rodzice Grzeška z drugiego podwórka kupili telewizor i Zyga z zapa-
tym tchem śledził losy bohaterów.

– Jak to takie ciekawe – powiedziała ciotka, kiedy opowiadał jej kolejny odcinek – to zapytaj, czy mogę pójść z tobą pooglądać.

Rodzice Grzeška nie mieli nic przeciwko temu i od tego czasu Zyga chodził na drugie podwórko razem z ciotką. Trochę to trwało, bo ciotka miała żylaki i chodziła bardzo powoli, ale zawsze zdążyli przed końcem odcinka.

Jednak któregoś dnia matka wpadła do domu błada i bez tchu i powiedziała, że koniec z nocnymi spacerami, bo po mie-
ście grasuje morderca.

Zdążył już zabić nożem dwie osoby**, a kolejnymi – jeśli nie przestaną chodzić po ciemku – będą z pewnością ciotka i Zyga.

Na miasto faktycznie padł błady strach i ulice pustoszały po zmroku, a kobiety, idące wczesnym rankiem do kościoła, za-
wieszały sobie pod płaszczami – z przodu i z tyłu – pokrywki od garnków, żeby w razie czego nóż się omsknał.

* *Bonanza* – amerykański serial westernowy.

** Karol Kot – seryjny morderca oskarżony o dwa zabójstwa, dziesięć prób za-
bójstwa, cztery podpalenia. W latach 60. wywołał psychozę strachu w Krakowie i Nowej Hucie.

– Zygmus, a gdzie ta pokrywka od kociołka? – zapytała ciotka, rozglądając się po kuchni.

Pokrywka, która latem służyła jako tarcza dzielnemu Ivanhoe, leżała w krzakach otaczających przedszkole, do czego Zyga nie mógł się przyznać, więc ciotka pomyslowo zawiesiła sobie na plecach tarkę i tak zabezpieczona udawała się do mieszka-
nia Grzeška, by obejrzeć kolejny odcinek.

Miasto odetchnęło, kiedy morderca został pojmany, ale serial akurat się zakończył i Zyga przez kilka dni chodził jak struty.

Telewizor, musi być telewizor – myślał i wyobrażał sobie, jak siedząc w nowiutkich, zachodnich džinsach, ogląda Teatr Sensacji.

Bo Czarna Owca bez przerwy rozmawiała z koleżankami o czwartkowej *Kobrze*...

Pewnego dnia pod koniec kwietnia Zyga wyszedł do szkoły wcześniej niż zwykle. Obszedł łąki i znowu znalazł kilka butelek, które wepchnął do teczki.

– Co tam nosisz? – zapytała Czarna Owca, a Zyga zrobił tajemniczą minę.

– Zobaczysz – odpowiedział.

Od tej chwili zaczął zapuszczać się w poszukiwaniu skarbów coraz dalej: okazało się, że nieduży lasek na obrzeżach dzielnicy, zwany Laskiem Mogilskim, obfitował w puste butelki – zupełnie jakby rosły tam niby grzyby po deszczu. Słoik zapełniał się wręcz błyskawicznie, a kiedy Zyga wymknął się z domu, aby zagrać na majówce chłopakom z OHP*, liczył, że posiadana przez niego suma wzrośnie co najmniej czterokrotnie.

* OHP – polska organizacja młodzieżowa założona w 1958 roku, nawiązująca do tradycji Junackich Hufców Pracy z 1936 roku. Hufce miały dać młodzieży pracę, umożliwić jej nabycie kwalifikacji zawodowych i zapewnić ogólną oświatę i wychowanie obywatelskie.